



## Renata Piątkowska



– Szybciej, gwiazdy, szybciej! – popędzałem te leniwe świecidełka, siedząc na parapecie z nosem przyklejonym do szyby. W domu wszystko było już gotowe do wigilijnej kolacji, brakowało tylko tej pierwszej gwiazdy.

– No, ile można czekać? Dziadku, zrób coś – marudziłem.

Dziadek położył na stole sianko i przykrył je bielutkim obrusem.

– To tak na pamiątkę narodzenia Pana Jezusa w betlejemskiej stajence – wyjaśnił, a potem zapalił świece i zapytał: – A wiesz, Piotrusiu, że w niedalekiej przeszłości w wigilijny wieczór dmuchało się na krzesła, zanim się na nich usiadło?

– Takie były zakurzone? – zdziwiłem się, bo u nas w domu przed świętami wszystko musiało być wysprzątane.

– Och, nie... Chodziło raczej o to, by siadając, nie przygnieść jakiegoś niewidzialnego gościa. Bo widzisz, Wigilia to jedyna taka noc w roku, kiedy wszystko może się zdarzyć, i wierzono, że nawet dusze naszych bliskich mogą przyjść w gościnę. Dlatego wieczorem zostawiano dla nich uchylone drzwi, a siadając, dmuchano na krzesło lub mówiono: „Posuń się, duszyczko”.



Słuchając dziadka, z wrażenia o mało nie spadłem z parapetu.

– Dawno temu powszechnie sądzono, że w Wigilię o północy, kiedy rodzi się Chrystus, w całej przyrodzie dzieją się cuda – opowiadał, a ja na chwilę zapomniałem o gwiazdach i ukradkiem rozejrzałem się po pokoju. Nic a nic się nie bałem, ale na wszelki wypadek przysunąłem się trochę bliżej dziadka.

– Legenda głosi, że w tę wyjątkową noc kwiaty zakwitają pod śniegiem, a ziemia się otwiera i ukazuje skarby ukryte w swym wnętrzu. Nawet martwe kamienie ożywają i obracają się wokół własnej osi, a zatopione na dnie jezior dzwony głucho podzwaniają, zaś woda w studniach i strumieniach na chwilę zamienia się w miód, wino albo płynne złoto. Śpiące w ulach pszczoły budzą się z zimowego snu, a zwierzęta potrafią mówić ludzkim głosem.

– Coś takiego?! – Spojrzałem na dziadka zaskoczony. Wszystkiego bym się spodziewał, ale nie tego, że mój chomik będzie mógł się dzisiaj do mnie odezwać.

– Od wieków jest w zwyczaju, by w Wigilię nie wszczynać kłótni i nie sprawiać nikomu przykrości. Tego dnia trzeba przebaczyć wszystkie urazy i dla każdego mieć dobre słowo. – Dziadek zamilkł, a w pokoju zrobiło się tak jakos uroczyście.

W takiej chwili nie dało się nie spojrzeć na choinkę. Stała sobie cichutko na jednej nodze, pięknie pachniała i cała lśniła od kolorowych lampek. To oświetlenie założył jej tata, ja ozdobiłem własnoręcznie zrobionym łańcuchem i

pomagałem wieszać bombki, złote gwiazdki, orzechy i cukierki. Cukierki były bardzo dobre, dlatego tak jakoś wyszło, że na choince zostało ich tylko parę.

– A wiesz, że dawniej zamiast takiej stojącej choinki wieszano u sufitu czubek sosny lub świerku, albo słomiane koło oplecione zielonymi gałązkami? Taką ozdobę nazywano bożym drzewkiem lub podłóżniczką.

Dużo bardziej podobało mi się określenie boże drzewko, bo podłóżniczka pasuje tak bardziej do łazienki – pomyślałem, ale nic nie powiedziałem. A dziadek opowiadał dalej:

– Przystrajano ją orzechami, czerwonymi jabłuskami i ciasteczkami, a z pozostałych po Wigilii opłatków wycinano gwiazdki, koła i półksiężycy. Były to tak zwane światy, które przyczepione do podłóżniczki wisiały na niteczkach nad wigilijnym stołem. Takie ozdoby miały chronić od nieszczęść i chorób, a także zapewnić zgodę i miłość w domu. Wyschniętego bożego drzewka nigdy nie wyrzucano do śmieci, tylko kruszono je i dodawano do karmy dla zwierząt lub zakopywano w polu. No, a te wszystkie wycinanki, jabłuszka, orzechy i ciastka zaczęto potem wieszać na stojących choinkach. I tak już jest do dzisiaj.

– Dziadek z uśmiechem patrzył na nasze drzewko.

A mnie w tej opowieści coś zaniepokoiło, no bo jeśli taka niby-choinka wisiała do góry nogami nad stołem, to gdzie w takim razie układano prezenty? Nie mogłem sobie wyobrazić świąt bez tych pięknych paczuszek i pudełeczek wystających spod gałązek. Tak naprawdę to nigdy nie widziałem, kto je przynosi, choć babcia twierdzi, że robi to Aniołek. Każdego roku jest tak, że przez cały dzień zerkam pod choinkę i nic tam nie ma, a potem nagle wieczorem prezenty pojawiają się nie wiadomo skąd i wszyscy w domu są tak samo zdziwieni jak ja. Tym razem też nikt nie widział Aniołka, prezenty, jak zwykle, pojawiły się znienacka, a ja nie mogłem przestać myśleć, co też może być w takiej dużej, kolorowej paczce. Może gdybym oderwał trochę ten ozdobny papier, udałoby się zobaczyć, co jest w środku? Właśnie zbliżałem się na paluszkach do choinki, gdy do pokoju weszła mama i powiedziała:



– Oj, Piotrusiu, miałeś przecież wypatrywać pierwszej gwiazdki. Zobacz, ile ich już świeci. Najwyższy czas siadać do kolacji.

Rzeczywiście, nie wiadomo kiedy, gwiazdy pojawiły się na niebie. Kolacja mogła się zaczynać, ale najpierw wszyscy sięgnęli po biały i cieniutki jak mgiełka opłatek i łamiąc go, składali sobie życzenia. Chwilę trwało, zanim wyściskany i wycałowany, z głową pełną najlepszych życzeń, usiadłem do stołu. Wtedy okazało się, że mama źle policzyła talerze, no bo mama, tata, dziadek, babcia, druga babcia i ja – to sześć osób, a talerzy było siedem. Jedno krzesło też stało puste i nie dziwiło to nikogo oprócz mnie. Wreszcie babcia wyjaśniła, że to stary zwyczaj każe, by dla każdego, kto w Wigilię zapuka do drzwi, znalazło się miejsce przy stole, tak by w tę noc nikt nie był opuszczony i smutny. Może to być zmęczony wędrowiec, ale dawniej wierzono, że mogą to też być tacy niewidzialni goście, którzy nie muszą nawet pukać, by w tę najdziwniejszą noc roku odwiedzić swych bliskich. To dla nich leżał ten pusty talerz, na który wszyscy składali ułamek swojego opłatka, i to właśnie z ich powodu dmuchało się kiedyś na krzesła, zanim się usiadło. Przed laty z myślą o nich zostawiano na wigilijnym stole do rana resztki jedzenia, by nocą mogli skosztować trochę smakołyków. Ciekawe, co im najbardziej smakowało, bo ja lubię barszczyk z uszkami i pierogi z kapustą. Ryby nie są złe, ale mają strasznie dużo ości. Całe szczęście, że u nas jest tylko karp, bo podobno dawniej przyrządzano, oprócz innych potraw, dwanaście dań z ryb – babcia twierdzi, że to na pamiątkę dwunastu apostołów i że kiedyś podawano karpie, szczupaki, karasie, liny, śledzie i sandacze na rozmaite sposoby. Smażone, z grzybami, w śmietanie, w czerwonej kapuście, w sosie chrzanowym, w jarzynach lub w galarecie. To musiały być straszne czasy – pomyślałem. – Zanim wszyscy wydłubali ości i zjedli dwanaście ryb i jeszcze te zupy, pierogi, łazanki, ciasta i kompoty, to ile trzeba się było naczekać, żeby w końcu odpakować prezenty? U nas był tylko karp, a trwało to w nieskończoność. Jedyne pożyte z tych ryb, to że mają łuski. Mama odłożyła każdemu po jednej, żeby mógł sobie włożyć do portmonetki. Podobno wtedy przez cały rok nie zabraknie w niej pieniędzy. Ja niestety nie mam portmonetki, ale mam dużą kieszeń w spodniach i tam właśnie schowałem moją łuskę. Mam nadzieję, że łusce to nie zrobi różnicy, a moja kieszeń przez cały rok będzie pękać w szwach od złotych. Oczywiście, nawet gdy już nie mogłem nic więcej zjeść, mama nie pozwoliła mi zajrzeć pod choinkę, bo

od wigilijnego stołu nie wolno podobno wstawać, dopóki nie skończy się kolacja. A tu jeszcze dziadek zaczął opowiadać:

– Przypomniało mi się właśnie, jak mój ojciec przy Wigilii wspominał taką historię z czasów I wojny światowej. Otóż wówczas on sam walczył na froncie francusko-niemieckim i, jak mówił, pewnej mroźnej nocy 24 grudnia z okopów francuskich, wraz z pierwszą gwiazdą, popłynęła polska kolęda. Śpiewali ją polscy ochotnicy służący we francuskiej armii. Przez obstawione zasiekami, zaśnieżone pole niosły się słowa: „Cicha noc, święta noc...”. Po chwili ta sama kolęda rozległa się z okopów niemieckich, śpiewana przez polskich żołnierzy zmuszonych do służby w niemieckim wojsku. Tej nocy nie padł ani jeden wystrzał, nikt nie zginął, a zasłuchani żołnierze wracali myślami do swych domów na wigilijną kolację. Tak, tak właśnie było – powiedział dziadek i wtedy wszyscy przy stole zaczęli śpiewać kolędy.

Potem mama pokroiła makowiec i mogłem wreszcie wyjąć spod drzewka te paczki i pudełeczka zapakowane w piękny papier i obwiązane wstążeczkami. Okazało się, że dostałem klocki, bajki, wyścigowe autko i pluszowego słonia, a ta duża, kolorowa paczka to były łyżwy hokejki – też dla mnie. Za oknem padał śnieg, a u nas w domu było ciepło, odświętnie, pachniała choinka i było tak dobrze, jak tylko może być w tę najdziwniejszą w roku noc. Gdy wszyscy rozpakowywali swoje prezenty, słychać było ochy i achy, a po chwili od stołu znowu popłynęła kolęda:

*Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi.*

*Wstańcie, pasterze, Bóg się wam  
rodzi...*







Ja znałem tylko pierwszą zwrotkę, więc przy drugiej pobiegłem do mojego pokoju, pokazać wyścigówkę chomikowi. Zniosłem mu kawałek piernika i przytuliłem do policzka jego mięciutki łepiek, a wtedy, wiercie mi lub nie, usłyszałem cichutkie: „Wesołych świąt, Piotrusiu”.